

aż rok. Dziś jesteśmy w fazie kolejnej – coraz bardziej narażeni na negatywne mechanizmy, towarzyszące podobnym procesom – labilność, agresję, a na poziomie społecznym – szukanie kozłów ofiarnych. Najwyraźniej nie wie tego minister zdrowia, wpisujący się w ów model wskazywaniem Polaków, którzy pojechali do Zakopanego, jako potencjalnie winnych rozprzestrzeniania się choroby, i swoim „nie chciałbym, abyśmy mówili, że na Krupówkach zaczęła się trzecia fala pandemii”.

## Co dalej z nami

„Efektu Krupówek”, nawet gdyby miał wystąpić, jeszcze nie byłoby w statystykach. Od momentu zwiększenia liczby zarażeń do chwili pogorszenia wyników testów mija zwykle około dwóch tygodni. Ale zwiększanie się liczby zakażeń jest i będzie faktem. Żeby mu przeciwdziałać, mówi się o zastępowaniu przyłbic i symbolicznych maseczek z szalików tymi chirurgicznymi – to słuszne. Mówi o większej regionalizacji obostrzeń – co już się dzieje; w Nidzicy, w której wzrost zakażeń jest największy, a sam burmistrz choruje, zamknięto właśnie publiczne szkoły i przedszkola.

Minister zdrowia nieoficjalnie wspomina też jednak o różnych innych pomysłach na ręczne sterowanie – na przykład o zamknięciu hoteli dla osób poniżej 18. roku życia po to, żeby rodzice nie zabierali dzieci na odroczone ferie. Zważywszy na stan psychiczny dzieci i nastolatków – ale i całych rodzin – to nie jest dobry pomysł. Rozsądniejsze byłoby egzekwowanie reżimu sanitarnego, nacisk na dbałość o unikanie kontaktu w zamkniętych pomieszczeniach.

Z perspektywy czasu już widać, że błędem było zamknięcie barów i restauracji w okresie zimowym. Pierwszy lockdown został ogłoszony, gdy akurat zrobiło się ciepło. Polacy uciekali na łąki i do lasów. Ale ślota, a potem mrozy wykluczyły długie spacery. Gdy wyłączono zimą możliwość wyjścia z domu gdziekolwiek, ludzie masowo poczuli, że tracą balans.

A przedsiębiorcy prowadzący takie miejsca – którzy deklarowali początkowo przestrzeganie reżimów sanitarnych, i rzeczywiście to robili, oddzielając stoliki, modernizując system składania zamówień – zbuntowali się, dokładając paliwa do buntu ogólnospołecznego. Teraz, po zimie z lockdownem, nie mają już żadnych zapasów, które pozwoliłyby im przetrwać kolejne miesiące.

Polityka państwa wobec gospodarki to zresztą osobny rozdział o nieogarnianiu. Podczas gdy rząd chwali się dobrymi wynikami eksportu, Akademia im. Leona

Koźmińskiego publikuje badania, z których wynika, że ci, którzy w poprzednich badaniach sygnalizowali niepewność, teraz wyhamowują inwestycje i ograniczają zamówienia na przyszłość. Droższą surowce, rosną koszty transportu, wyraźne są problemy z płynnością, firmy ograniczają realizowanie płatności. 80 proc. przedsiębiorców nie skorzystało z żadnego państwowego wsparcia, choć całe sektory, które nie znalazły się na rządowych listach branż, zanotowały spadki przychodów na poziomie 80 proc. Panuje kompletna niepewność co do przyszłości, co samo w sobie podkopuje wszelkie

biznesplany – każde poluzowanie może zostać odwołane.

Pandemia weszła w fazę chroniczną, reguły zawodzą, rośnie pesymizm, a rząd nie pomaga w ogarnięciu tego zjawiska. Nie wydaje się specjalnie lepiej zorientowany od przeciętnego obywatela. Wiarygodność informacji i prognoz zbliża się do zera. Walka z covidem wydaje się teraz czysto objawowa, z dnia na dzień.

Po całej liście złych wiadomości jest też dobra: prognoza pogody. Ma być ciepło. Będzie można znów pójść do lasu.

MARTYNA BUNDA

REKLAMA

 UK Government

# Chcesz mieszkać i pracować w Wielkiej Brytanii?

## Zmieniły się przepisy dotyczące obywateli Unii Europejskiej



**W ramach nowego brytyjskiego punktowego systemu imigracyjnego konieczne będzie spełnienie określonych wymagań.**

**Sprawdź, czy się kwalifikujesz i przed wjazdem do Wielkiej Brytanii złóż wniosek przez Internet o wizę.**

**Nie dotyczy to obywateli UE kwalifikujących się do uzyskania statusu w ramach EU Settlement Scheme.**

**Sprawdź, czy się kwalifikujesz na stronie [GOV.UK/PrzeprowadzkaDoWielkiejBrytanii](https://gov.uk/przeprowadzka-do-wielkiej-brytanii)**



# Prawda czasu to prawda ekranu

Dla Jarosława Kaczyńskiego telewizja, radio, prasa, teraz także internet, to były zawsze instrumenty polityczne. Od dawna związki szefa PiS z mediami były burzliwe.

RAFAŁ KALUKIN



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Akurat kiedy media niezależne od władzy podjęły akcję protestu przeciwko próbie dociśnięcia ich podatkiem od reklam, te zależne przystępowały do corocznej akcji hołdowniczej polegającej na honorowaniu prominentów nagrodami. W przypadku klubów „Gazety Polskiej” obyło się bez zaskoczeń, ich Człowiekiem Roku został Jarosław Kaczyński. Co rozumie się samo przez się i nie wymaga większych uzasadnień.

Więcej wyrafinowania okazały „Sieci”, które Człowiekiem Wolności (sic!) obwołały aktualnego prezesowskiego faworyta Daniela Obajtka. Peanom na cześć szefa Orlenu nie było końca, a najsmarkowsze cytaty z gali stały się memami. Poprzeczkę „obciachu” dodatkowo podniósł Michał Karnowski, który z napuszeniem dowodził, że nagroda jego pisma „wyznacza hierarchię i wskazuje kierunki”, „nie można jej kupić, nie można wydreptać”, a laureat musi zasłużyć „pracą dla Polski i odwagą”.

Czytelnika bilanse i strategie koncernu paliwowego ani ziębią, ani grzeją. Ale też nie za to wyróżniono przecież Obajtka. Szef Orlenu zasłużył się Polsce głównie tym, że sprawił przyjemność Kaczyńskiemu. Prezes sam nawet opowiadał, jak bardzo był kontent, kiedy Obajtek wyrwał z niemieckich łap prasowy koncern Polska Press („To jedna z najlepszych wiadomości, jaką usłyszałem w ciągu ostatnich lat”). Teraz tylko czekać, jak odzyskane tytuły same zaczną przyznawać swoje nagrody. W końcu zasłużonych patriotów u nas dostatek.

To ważny element pisowskiej liturgii. Na swój sposób Karnowski miał rację: w klientelistycznym systemie hierarchie są zmienne i warto wiedzieć, komu aktualnie sprzyja najwyższy patron. Ale nagrody są również sygnałem dla płatników z państwowych spółek, że dotychczasowi beneficjenci budżetów reklamowych pozostają lojalni. I tak to się kręci już szósty rok.

**1** „Kaczyński nie uważa niezależności dziennikarskiej za istotną wartość. Ma do niej podejście można by rzec »międzywojenne«, kiedy to gazety należały często do partii, a naczelni bywali posłami na Sejm. Kiedy socjalista Kazimierz Pużak ogłaszał, że »Robotnik« ma być gazetą nudną i wszyscy działacze mają go czytać” – pisał w 2010 r. biograf prezesa Piotr Zaremba. Jego zdaniem Kaczyński ma też problem ze zrozumieniem etosu dziennikarstwa „na bardzo pierwotnym, psychologicznym poziomie”. Otóż nie przyjmuje do wiadomości,



że zazwyczaj uświadomieni politycznie dziennikarze mogą zadawać obu stronom sporu równie trudne pytania. To coś „sprzecznego z naturą albo maskującego fundamentalne, choć nie do końca rozpoznane oszustwo”.

Ale po pięciu latach rządów PiS trudno mieć wątpliwości, że problem jest znacznie głębszy, bo ideologiczny. Kaczyński ogólnie nie wierzy w jakiegokolwiek niezależne instytucje. Nie uznaje nie tylko wolnych mediów, ale i suwerennego prezydenta, parlamentu, Trybunału Konstytucyjnego, sądów powszechnych, prokuratury, kontroli państwowej, samorządów, organizacji pozarządowych. Jego zdaniem instytucje nie posiadają duszy, instytucje to ludzie. Tych zaś trzeba podporządkować, gdyż inaczej uczyni to polityczny przeciwnik.

Nieraz doszukiwano się w takich przekonaniami wpływu seminariów u prof. Stanisława Ehrlicha, na które młody Jarosław uczęszczał w latach 70. Co prawda jego mentor pisał wyłącznie o demokracjach „burżuazyjnych”, niemniej swoim studentom wkładał do głowy, że polityka w każdych realiach ustrojowych wygląda podobnie. Na jej przebieg niezmiennie wpływają potężne „grupy nacisku”, czyli nieformalne konglomeraty złożone z partii, państwowej egzekutywy, biurokracji, ale też biznesu i korporacji zawodowych, które wymuszają realizację partykularnych interesów grupowych.

Zazwyczaj mydłą nam oczy, że reprezentują interes społeczny. Ale nie dajmy się zwieść, bo jest on tylko „mitem, fantazją”. Równie pozorny jest „system hamulców i równowagi”, który nie ma wpływu na „koncentrację kapitału i mocy politycznych”. Demokracja jest polem totalnego starcia, a wygrywa ten, kto zgromadzi więcej zasobów. O samych mediach Ehrlich pisał zdawkowo. Najwyraźniej sądził, że ich rola sprowadza się do „urabiania opinii publicznej” na zamówienie potężnych sił.

**2** Wchodzący w politykę Kaczyński miał do mediów podejście może nie tyle przedwojenne, ile peerelowskie. I to nie Pużak kształtował jego wyobraźnię, lecz Mieczysław Rakowski i ówczesna POLITYKA. W książkowym wywiadzie wspomina, że obejmując jesienią 1989 r. posadę redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”, wykalkulował sobie, że stanie w hierarchii władzy wyżej od niejednego ministra.

Legenda głosi, że pomysł z „Tysolem” podsunęła mu bratowa Maria Kaczyńska. Akurat gabinet naczelnego opuszczał Tadeusz Mazowiecki, wskazany przez

Wałęsę – zresztą przy udziale Kaczyńskiego – na premiera. Chociaż posadę w związkowym piśmie musiał już wyhodzić sobie sam. Wałęsa podpisał nominację *in blanco* i polecił Kaczyńskiemu, aby znalazł odpowiedniego kandydata. Ten zaś nie musiał daleko szukać.

Wybuchł z tego konflikt, który z czasem zostanie uznany za wstęp do „wojny na górze”. Zderzyły się dwie logiki. Rację polityczną reprezentował stojący na czele Solidarności Wałęsa: skoro „Gazetę Wyborczą” dostało już środowisko Adama Michnika, a Mazowiecki stanął na czele rządu, „Tysol” powinien wrócić pod kontrolę związku.

Ale była też przecież racja dziennikarska, czyli wolności słowa, niezależności. Redakcję stworzyli konkretni ludzie, którzy nie po to dopiero co wyszli z drugiego obiegu, by teraz odgrywać rolę pionków na politycznej szachownicy. Zespół nie chciał przysłać im w teczkę Kaczyńskiego, którego opozycyjny autorytet był niewielki. Zdecydowanie woleli Jana Dworaka, którego popierał Mazowiecki. W efekcie prawie wszyscy odeszli i trzeba było kompletować nową ekipę.

„Nie chciałem wchodzić w stronę czysto redakcyjną, bo ani się na tym znałem, ani mnie to nie interesowało i uważałem to za stratę czasu” – wspominał Kaczyński tamten okres. Pismem faktycznie kierował Krzysztof Czabański, a naczelny realizował się głównie w wygłaszaniu politycznych referatów podczas kolegiów redakcyjnych, skądinąd cenionych przez dziennikarzy. Ale mimo wszystko gabinet Kaczyńskiego tętnił życiem. Niemal codziennie przewijali się jacyś goście. To właśnie w tym miejscu powstało Porozumienie Centrum. W grupie inicjatywnej nowej partii znaleźli się zresztą najbliżsi redakcyjni współpracownicy Kaczyńskiego: Czabański, Maciej Zalewski, Andrzej Urbański, Jacek Maziarski, Józef Orzeł.

Miał nadzieję, że okopie się w „Tysolu” na długie lata. Odszedł po roku, kiedy zmienił się układ i poszedł za Wałęsą do Belwederu. Pewnie już się zorientował, że w nowym systemie minister więcej może od naczelnego. Chyba że tym naczelnym będzie Adam Michnik.

Kaczyński miał z „Gazetą” problem. Zazdrościł jej ogromnego wpływu na opinię publiczną. Podziwiał upór i konsekwencję (nieraz podkreślał, że na rozruchu wszyscy tam ciężko pracowali za psi grosz, podczas gdy prawnicy projekty medialne z reguły startowały od przyznania sobie sutych pensji). Ale zarazem nie był w stanie pojąć jej fenomenu. Zafiksowany na polityce podkreślał, że to „organ lewego skrzydła Unii

Demokratycznej”. Ale nie dostrzegał metapolitycznego znaczenia „Gazety”, czytelniczej atrakcyjności, bogatych form dziennikarskich, wybitnych piór.

Z czasem urodzi się z tego potężny kompleks. Cała prawica będzie powtarzać za Kaczyńskim, że „Wyborcza” podstępnie uwłaszczyła się na dziedzictwie Solidarności. Tyle że wiosną 1989 r. Wałęsa nie miał pod ręką innego środowiska, któremu mógłby oddać robienie gazety na czerwcowe wybory. To w końcu krąg korowski zorganizował wcześniej najprężniejszy nurt drugiego obiegu, z absolutnie unikatowym rozmachem „Tygodnika Mazowsze” na czele. Po wyborach kontraktowych polityczne zamówienie się zresztą skończyło. Dalej była już decyzja samej redakcji, która podjęła wysiłek wychodzenia na własny rachunek. Ponosząc adekwatne do trudnych okoliczności ryzyko.

**3** Kaczyński miał swoją partię, ale chciałby też silnych partyjnych mediów. Okazji dostarczyła parcelacja osieroconego przez PZPR wydawnictwa RSW. Specjalna komisja miała porozdzielać pomiędzy nowych właścicieli kilkadziesiąt tytułów gazet i czasopism. Z jednej strony należałoby zrównać szanse politycznej rywalizacji: postkomunistyczne formacje ocalały sporą część dawnego majątku, podczas gdy solidarnościowe partyjki są biedne jak myszy kościelne. Trzeba było im to zrekompensować. Z drugiej strony przydałoby się zachować ciągłość. Gazety może i wychodziły pod partyjnym szyldem, ale robili je konkretni dziennikarze dla konkretnych czytelników.

Senator Jarosław Kaczyński zdecydowanie sprzeciwiał się pomysłowi, aby zorganizowane w spółdzielnie stare zespoły mogły przejmować swoje pisma na własność. Uważał, że byłaby to kolejna odsłona uwłaszczenia czerwonej nomenklatury. Zamiast tego forsował model uwłaszczenia się nowej elity: partię powołują fundacje, które następnie dzielą się redakcjami. Ostatecznie stanęło na modelu pośrednim. Ustanowiono preferencje dla spółdzielni dziennikarskich (tą ścieżką podążyła m.in. POLITYKA), pozostałe najcenniejsze kąski na drodze kularowych ustaleń podzielono pomiędzy partię, resztę puszczono na rynkowy żywioł.

Tym sposobem PC otrzymało poczytną warszawską popołudniówkę „Express Wiedźorny”. Kaczyński wielce był zresztą zdziwiony, kiedy dowiedział się, że za majątek (m.in. nieruchomości w centrum Warszawy, które do dziś stanowią zaplecze materialne PiS) należy ▶

► zapłacić. Jeszcze bardziej rozsierdził go bunt zespołu, który nie chciał robić partyjnej gazety, zwinął manatki i poszedł wydawać własny „Express” (obecnie: „Super Express”). Zdaniem prezesa ukartowano spiszek, aby za grube pieniądze wcisnąć mu wydmuszkę i zrujnować PC.

Na czele przejętego pisma stanął Czabański, który chciał utrzymać sensacyjny profil i czytelnika. Ale jak wspominał Kaczyński, „przyszły wybory, oczekiwaliśmy pomocy »Expressu«, a tej nie było”. „Upartego” Czabańskiego zamieniono więc na Andrzeja Urbańskiego, który próbował połączyć historyjki z cyklu „zabili go i uciekł” z nachalną propagandą PC.

Niewiele z tego wyszło, bo czytelnicy masowo uciekali, a wynik w wyborach 1991 r. okazał się poniżej oczekiwań. Urbański już wiedział, że na propagandzie daleko się nie zajdzie. Proponował więc Kaczyńskiemu przejście na stricte komercyjny format i znalezienie inwestora. Czyli koniec z ręcznym sterowaniem, za to partia będzie miała dywidendę od zysków. Skończyło się wywaleniem Urbańskiego. Wkrótce prawie upadły „Express” sprzedawano już szwajcarskiemu Marquardowi.

**4** Związany krótko z PiS politolog Marek Migalski napisał kiedyś o Kaczyńskim, że niespecjalnie przejmuje się tym, co napisze o nim „Gazeta Wyborcza”. Kiedy jednak przeczyta o sobie coś krytycznego w piśmie należącym do pravicowego archipelagu, „potrafi dostać szału”. Tutaj nie ma mowy o dzieleniu włosa na czworo, lojalność musi być absolutna. Przekonał się o tym Bronisław Wildstein, który za pierwszych rządów PiS stanął na czele TVP i dosyć szybko został poświęcony w imię wyższych konieczności. Ale wcześniej Piotr Wierzbicki.

Poznali się w latach 70. i podobno uważali się za przyjaciół. Wierzbicki już wtedy dał się poznać jako publicysta wybuchowy. Nieustannie go nosiło, przeżywał ideowe olśnienia, nie uznawał granic polemiki. Powiedział o nim, że był kontrowersyjny, to mało. Ale zarazem był bodaj pierwszym prawdziwym rycerzem pravicowej sprawy. Obejmując „Tygodnik Solidarność”, Kaczyński od razu ściągnął starego znajomego do redakcji.

W 1991 r. Wierzbicki zakłada dziennik „Nowy Świat”. Bliska współpracowniczka Elżbieta Isakiewicz wspominała, że Kaczyński „mógł o każdej porze nocy i dnia zadzwonić do redakcji i powiedzieć, co chce w wywiadzie”. I choć bynajmniej nie oznaczało to „tabu

na krytykę”, w tamtym czasie Wierzbicki, ogólnie rzecz biorąc, wspierał PC. Nic więc dziwnego, że kiedy skonfliktował się z udziałowcami i stanęła kwestia jego odwołania, liczył na wsparcie Kaczyńskiego. Możliwości ku temu istniały, gdyż PC nie tylko miało udział w wydawnictwie, ale i spore wierzitelności („Nowy Świat” drukował się w drukarni „Expressu Wieczornego”).

Kaczyński niewiele jednak zrobił. Być może radykał Wierzbicki nie pasował do jego politycznych planów; zabiegał wtedy o taktyczny sojusz z Unią Demokratyczną. A może wręcz zależało mu na eskalacji redakcyjnego kryzysu, bo liczył na przejęcie „Nowego Świata” przez PC?

Wkrótce Wierzbicki już zakładał jeszcze radykalniejszą „Gazetę Polską”, i tym razem wreszcie mu się powiodło. Robiony na partyzanckich warunkach tygodnik zaczął przynosić zyski, stając się punktem odniesienia dla kolejnego pokolenia pravicowej młodzieży. Tyle że niedługo przekładało się to na poparcie dla pravicowych partii, które w 1993 r. znalazły się poza parlamentem. A kiedy już wróciły, szef „Gapola” nagle zaczął łagodnieć. Teraz to Radio Maryja pobudzało jego polemiczną wyobraźnię i przestrzegał swój obóz przed kursem na pozycje katolicko-narodowe. Czyli tam, gdzie właśnie wybierał się stojący już na czele PiS Jarosław Kaczyński.

I kiedy w „Gazecie Polskiej” doszło do redakcyjnego przewrotu, prezes poparł młodego jastrzębia Tomasza Sakiewicza. Ten zaś zrobił pismo dokładnie takie, jakiego chciał Kaczyński. Zdyscyplinowane i bez względu na okoliczności popierające PiS, zdolne wyostrzyć do granic każdy zaordynowany przez Kaczyńskiego podział (choć – jak zaznaczał prezes w książce wspomnieniowej – nawet za czasów Sakiewicza „darzono nas złośliwościami”).

Nowy naczelny porozkręcał Kluby Gazety Polskiej, które w epoce Tuska stały się najważniejszym oddolnym ruchem prawicy. Sprawnie poszerzał zakres inicjatyw medialnych, które z czasem utworzyły cały alternatywny obieg. Zawsze jednak w ścisłej relacji i pod kontrolą PiS. Po katastrofie smoleńskiej „Gazeta Polska” stała się najwydajniejszą fabryką, która na zawołanie produkowała kolejne teorie spiskowe o zamachu. Zdaniem Kaczyńskiego to „najchwalebniejsze momenty w dziejach polskiej prasy”.

Z czasem patent Sakiewicza na medialną samoróbkę pod partyjnymi skrzydłami po swojemu rozwinęli zręczniejsi w buszowaniu po pisowskich układach bracia Karnowscy.

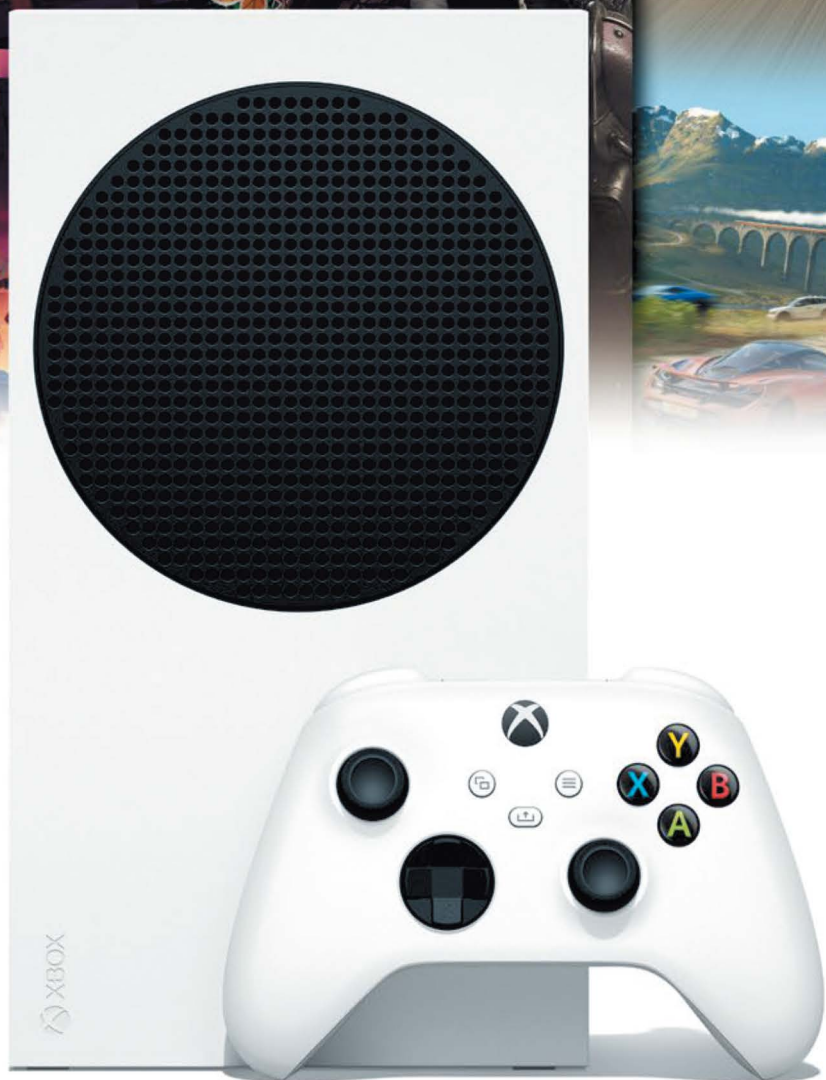
Niewprawne oko raczej nie wychwyci istotnych różnic pomiędzy poszczególnymi obiegami. Ale to najważniejszy czytelnik przede wszystkim powinien doceniać niuanse. Ostatecznie jednak w wielkich konfrontacjach politycznych liczyła się tylko TVP Kurskiego. Czyli byt ulotny, uzależniony od politycznej koniunktury. Cała reszta to rozrywka dla koneserów, których jeszcze nie znudziła monotonna propaganda w mediach Karnowskich i Sakiewicza.

**5** Wygląda na to, że pisowska prawica raczej już nie zdoła zbudować poważnych mediów, które potrafiłyby komunikować się nie tylko z najbardziej przekonanymi. Ostatecznie najważniejszym kapitałem zawsze pozostanie niezależność, wiarygodność, zaufanie. Rzecz jasna radykalna polaryzacja wymusza teraz klarowne identyfikacje polityczne po obu stronach sporu. Nie ma tu jednak symetrii. Media będące pasem transmisyjnym partii rządzącej, dostawcami przekazów dnia, również aktywnymi uczestnikami nieformalnego przetargu o publiczne zasoby, nie znajdują odpowiednika po drugiej stronie. To produkt wieloletniej ewolucji pod okazywaniem Kaczyńskiego.

Mogłoby się teraz wydawać, że forsowany w trudnych realiach mechanizm dodatkowego opodatkowania niezależnych mediów – i to zaprojektowany w taki sposób, aby punktowo uderzyć zwłaszcza w tych wydawców, których Kaczyński szczególnie nie lubi – stanowi logiczne zwieńczenie tego samego procesu. Tyle że pomysł pojawił się nagle, w samym środku pandemicznego kryzysu, przy spadających notowaniach PiS. Raczej więc nie była to zaplanowana wcześniej operacja. Prędzej już chaotyczna próba ucieczki do przodu, ewentualnie efekt narastającej walki o wpływy. Równolegle wybuchała zresztą awantura w Porozumieniu, co przynajmniej na razie powstrzymuje grupę Jarosława Gowina od poparcia drakońskiego projektu.

Chociaż nic nie jest przesądzone. Pirowskim elitom bez wątplenia podzielała na wyobraźnię bezradność przegranej Trumpe, który z dnia na dzień stracił poparcie w republikańskim medialnym mainstreamu, a przede wszystkim pozbawiono go kanałów komunikacyjnych w mediach społecznościowych. W dłuższej perspektywie medialna obsesja polskiej prawicy będzie więc narastać. I jeżeli PiS kiedykolwiek odzyska dawne moce, z pewnością ponowi próbę ustanowienia własnego monopolu.

RAFAŁ KALUKIN



# XBOX SERIES S

Wejdź w nową generację konsol z Xbox Series S. Wzmocnij swoją rozgrywkę dzięki abonamentowi Game Pass Ultimate z dostępem do ponad 100 wysokiej jakości gier (w tym bibliotece EA Play)



**NEONET**



# Prokuratura pod dyktandą

Prokuratorzy krytykujący władzę zostali zesłani setki kilometrów od domu. Innym odbiera się śledztwa. Władza podporządkowuje prokuratorów kosztem rujnowania urzędu.

EWA SIEDLECKA

**P**rokuratura została przekazana w zarządzie sprawowania władzy. Podporządkowano ją rządowi. Prokurator generalny Zbigniew Ziobro stał się bezpośrednim przełożonym każdego prokuratora – może więc kazać zrobić ze śledztwem, co tylko uzna za stosowne: wszcząć, umorzyć, wnioskować o areszt; nakazać przesłuchanie, zatrzymanie, dopuścić adwokata do akt lub nie; postawić w stan oskarżenia lub ciągnąć sprawę latami. Wymieniono 90 proc. kadry. Służalność premiuje się awansami i nagrodami, niezależność karze zesłaniami.

## Dziel i rządź

W październiku zeszłego roku prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie Wojciech Pełeszok został delegowany do prokuratury rejonowej za to, że przed sądem złożył oświadczenie, że nie zgadza się z poleceniem przełożonych wnioskowania o trzymiesięczny areszt dla uczestniczki protestu Strajku Kobiet.

Szef prokuratury w Zgorzelcu Artur Barcell stracił na początku ubiegłego roku funkcję za to, że zapytał oficjalnie przełożonego o podstawę prawną polecenia prokuratora krajowego, by prokuratorzy żądali wyłączenia ze spraw sędziów kwestionujących prawomocność nominacji sędziowskich neoKRS. Taki los może spotkać każdego prokuratora, który skorzysta ze swojego ustawowego prawa do żądania polecenia przełożonego na piśmie. Zasada niezależności prokuratora jest systemowo łamana.

Delegacje to wyższa forma represji. Postępowania dyscyplinarne to represje

oczywiste. Objęto nimi co najmniej 23 prokuratorów upominających się o niezależność – ale działalność Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego bada Trybunał Sprawiedliwości UE, więc najwyraźniej uznano, że może lepiej na razie dyscyplinarkami nie szafować. Delegacje zaś to sposób zarządzania kadrami prokuratury, przewidziany w ustawie o prokuraturze.

Więc o co chodzi? O niszczenie prokuratury. O dezorganizację, chaos, nieracjonalne gospodarowanie pieniędzmi publicznymi. O nadużycie władzy skutkujące działaniem na szkodę prokuratury. A także: o łamanie praw człowieka, praw prokuratorów oraz praw osób pokrzywdzonych przestępstwem. I o prawa obywateli do ochrony przed przestępczością.

Władza boi się utraty kontroli nad przejętą w 2016 r. prokuraturą. Broniące gwarantowanej ustawą niezależności i apolityczności prokuratorów Stowarzyszenie Lex Super Omnia liczy zaledwie ok. 250 prokuratorów – na 6 tys. wszystkich. A mimo to władza zdecydowała się na demonstracyjny pokaz siły: jednego dnia delegowała sześcioro działaczy LSO do prokuratur odległych o setki kilometrów od ich domów. To nie pierwszy przypadek represyjnej delegacji, ale pierwszy grupowy. Na przeprowadzkę dostali 48 godzin. Wszystko zrobiono tak, aby narobić jak najwięcej szumu. Żeby do każdego prokuratora w Polsce dotarło, co się stanie, jeśli nie będzie posłuszny. A całość zwięźcił prezydent Duda, który – z dezynwolturą traktując zasadę niezależności prokuratorów, a także ich godność – stwierdził, że jak im się nie podoba, to mogą zmienić zawód.

Problem jednak nie tylko w tym, że PiS prowadzi politykę „dziel i rządź”. Ale przede wszystkim w tym, że kierownictwo prokuratury – prokurator generalny Zbigniew Ziobro oraz prokurator krajowy Bogdan Święczkowski – działa na jej szkodę.

Do udowodnienia tego wystarczy liczby. Ziobro zaprzestał publikowania drobiazgowych sprawozdań rocznych, które przed premierem składał niezależny prokurator generalny Andrzej Seremet. Sądzi być może, że uniemożliwi to postawienie konkretnych zarzutów. Ale Stowarzyszenie Lex Super Omnia pracowicie zbiera dane, zwracając się o nie w trybie dostępu do informacji publicznej. W Prokuraturze



ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUNIEWICZ

Krajowej spotyka się z odmową – np. pod pretekstem, że liczba delegacji czy też lista nagród nie są informacjami publicznymi. Ale LSO zbiera te dane z poszczególnych prokuratur, wnioskuje z wydatków itd.

## Delegowanie -szykanowanie

Delegowanie, chociaż przewidziane w ustawie o prokuraturze, musi być merytorycznie uzasadnione i służyć dobru prokuratury. Tymczasem delegacje prokuratorów z LSO są formą szykanowania za działalność w Stowarzyszeniu i nie mają merytorycznego uzasadnienia. Czworko z delegowanych prokuratorów zabrano z prokuratur warszawskich, najbardziej obciążonych w kraju; potęgując braki kadrowe sięgające nieraz połowy etatów. I posłano na drugi koniec Polski, gdzie najczęściej wcale o to nie proszono. Rzeczniczka Prokuratury Krajowej nie odpowiedziała nam, ile delegacji było wynikiem zgłoszonych braków kadrowych; szefowie dwóch prokuratur przyznali, że nie prosili o wzmocnienie.

Prokuratorów zesłano na zasadzie: im dalej, tym lepiej – np. prokuratora Artura Matkowskiego posłano z Poznania do Rzeszowa (500 km) zamiast do odległego



o 40 km Śremu. Do Śremu posłano zaś z odległej 310 km Warszawy prokurator Ewę Wrzosek (wszczęła śledztwo w sprawie wyborów kopertowych, które po kilku godzinach jej odebrano).

Decyzje o delegacjach nie zawierały uzasadnienia; nie zbadano sytuacji rodzinnej prokuratorów, a więc złamano zasady Kodeksu pracy i ustawy o urzędnikach państwowych, które obowiązują także prokuratorę. Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar wystąpił w związku z tym o kontrolę do Państwowej Inspekcji Pracy.

Gdyby zarzuty RPO się potwierdziły, byłby materiał na akt oskarżenia za złośliwe naruszenie praw pracowniczych (art. 218 kk). Delegowani prokuratorzy Katarzyna Kwiatkowska i Jarosław Onyszczuk z LSO zapowiedzieli pozew do sądu pracy o nierówne traktowanie. Za orzeczenie w takiej właśnie sprawie, wniesionej do krakowskiego sądu pracy przez innego delegowanego prokuratora z LSO Mariusza Krasonia, krakowska prokuratura wezwała 13 sędziów na przesłuchania. A rzeczniczka Prokuratury Krajowej poinformowała, że chodzi o postępowanie w sprawie przekroczenia uprawnień – należy rozumieć, że przez sędziów, którzy orzekali na korzyść prokuratora Krasonia. Wygląda to na zorganizowane

zastraszanie przed delegowaniem kolejnych prokuratorów z LSO.

Delegowani nagle prokuratorzy musieli porzucić sprawy, które do tej pory prowadzili. Np. Katarzyna Kwiatkowska (wiceprezesa LSO) zostawia 12 spraw – gospodarczych, wielowątkowych, niektóre liczą ponad sto tomów akt. Mówi, że jej delegacja przyszła faksem i była zaskoczeniem dla jej szefa. Czyli: nikt z nim nie konsultował, czy i kogo można mu zabrać. Sprawy delegowanych będą musieli przejąć inni prokuratorzy, co oznacza dezorganizację pracy i przewlekłość. To samo będzie za pół roku, kiedy skończą się delegacje.

### Miliony w plecy

Delegacje to także większe koszty: jeden miesiąc delegacji to dodatkowo (uśredniając) 4 tys. zł miesięcznie. Jeśli na to spojrzeć w skali wszystkich delegacji w prokuraturze, wychodzą gigantyczne, wydane bez merytorycznego uzasadnienia, sumy.

Z ustaleń LSO wynika, że rocznie na delegacjach „w dół” jest ok. 114 prokuratorów, a na delegacji „w górę” – co najmniej 800. Stowarzyszenie szacuje, że w sumie rocznie na delegacjach jest jedna czwarta wszystkich prokuratorów. Wydatki na same podróże służbowe w 2015 r. – za prokuratora Seremeta – wyniosły

niedużo ponad 9 mln zł i było ich o dwie trzecie mniej niż dzisiaj. W 2019 r. delegacje kosztowały blisko 15 mln zł. Do tego trzeba dodać wyższe – czasem dużo wyższe – uposażenia dla prokuratorów delegowanych „w górę”. Do samej Prokuratury Krajowej, gdzie goła pensja (bez dodatków) wynosi 20 tys. zł, delegowano w 2017 r. 282 prokuratorów. To miesięcznie ponad 6,7 mln zł wydatku ekstra w samej Prokuraturze Krajowej (20 tys. zł plus 4 tys. zł delegacji – razy 282 prokuratorów). W sumie w PK pracuje ok. 360 prokuratorów – przypomnijmy: na niespełna 6 tys. wszystkich. Za czasów Andrzeja Seremeta było ich 140.

Delegowani „w górę” prokuratorzy są czuli na spełnianie oczekiwań swoich dobroczyńców. Dlatego np. sprawie rzekomego przestępstwa sędziego Igora Tulei (naruszenia tajemnicy śledztwa) prowadzą właśnie oni.

Nieuzasadnione merytorycznie, traktowane jak korupcja, delegacje powodują braki kadrowe w prokuraturach rejonowych, które prowadzą 90 proc. wszystkich spraw. Skutek jest taki, że prokuratorzy coraz większą liczbę śledztw przekazują do samodzielnego prowadzenia policji. Z zeszłorocznego raportu LSO wynika, że policja samodzielnie ►

► prowadzi 93 proc. wszystkich śledztw. Są to zwykle sprawy obywateli. Natomiast kierownictwo prokuratury chce mieć kontrolę nad każdym śledztwem ważnym medialnie i politycznie. Takie prowadzą prokuratorzy, a każda decyzja w wybranych śledztwach musi przechodzić przez łańcuch akceptacji. Prokuratura Krajowa zażyła sobie informację z dwutygodniowym wyprzedzeniem o wszystkich czynnościach w takich śledztwach, co te czynności drastycznie spowalnia – prokuratorzy oczekują na akceptację góry.

Delegacje dezorganizują pracę prokuratury. Skutki są widoczne: w 2019 r. w porównaniu z 2014 r. liczba spraw długotrwałych wzrosła o ok. 270 proc. w przypadku spraw trwających powyżej 6 miesięcy, a jeśli chodzi o sprawy starsze – o 390 proc. Przykładowo: w 2015 r. spraw trwających powyżej 5 lat było 106, a w 2019 r. (przy porównywalnym wpływie spraw) – 353, czyli ponad trzykrotnie więcej.

Przewlekłość postępowań oznacza nie tylko większe koszty i rosnącą długość postępowania. Ale też to, że osoby pokrzywdzone przestępstwem zostają pokrzywdzone dodatkowo: przez prokuraturę, która narusza ich prawo do rozpatrzenia sprawy w rozsądnym terminie.

## Wędrujące śledztwa

Kolejnym działaniem na szkodę prokuratury jest przenoszenie spraw – nieraz wielokrotne – z prokuratury do prokuratury. *– Zasada przenoszenia spraw poza właściwość miejscową stała się normalnością. Szuka się miejsca, gdzie prokurator krajowy Bogdan Święczkowski będzie miał pewność, że sprawa będzie załatwiona w sposób dla niego satysfakcjonujący* – mówi prokurator Katarzyna Kwiatkowska.

Np. sprawa zarzutu dla kierowniczkę z sieci Ikea za zwolnienie pracownika, który zamieszczał w internecie cytaty z Biblii dotyczące homoseksualizmu, trafiła do prokurator Katarzyny Skrzeczkowskiej, oddelegowanej z Prokuratury Rejonowej w Nowym Dworze Mazowieckim do Prokuratury Okręgowej Warszawa Praga. Postawiła kierownicze zarzut. Do niej trafiła też sprawa korupcji politycznej w Wołominie, w której pada nazwisko wicepremiera Jacka Sasina. Śledztwo w sprawie mowy nienawiści wobec Ukraińców w związku z rzezią wołyńską odebrano prokuratorowi Marcinowi Młynarczykowi, który chciał stawić zarzut, i przekazano właśnie prokurator Skrzeczkowskiej.

Najnowszym przykładem przenoszenia jest sprawa zwana aferą Giertycha. Prokuratura stawia zarzuty 11 osobom o wypracowanie 92 mln zł z deweloperskiej spółki Polnord. Jednym z podejrzanych jest biznesmen Ryszard Krauze, którego

pełnomocnikiem jest Roman Giertych. Sprawa tuła się po kolejnych prokuraturach od 2017 r., bo prokuratorzy, mimo nacisku przełożonych, nie mogli się dopatrzyć przestępstwa. Wędrówka zaczęła się od Warszawy; przez Wrocław sprawa trafiła do Poznania. Tam zdecydowano o postawieniu zarzutów i wnioskach o areszt, ale sądy aresztów nie zastosowały, bo nie dopatrzyły się przestępstwa. A zatrzymania – w tym mec. Giertycha – uznały za nieuzasadnione. Teraz sprawa jest w Prokuraturze Regionalnej w Lublinie, a prowadzi ją zespół prokuratorów z różnych stron kraju. Śledztwo w sprawie grupy hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości zesłano właśnie z Lublina do Świdnicy. Były wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak, odpowiedzialny za wyciek danych sędziów w ramach tej afery, właśnie startuje na członka neoKRS i na sędziego Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Sprawę SKOK Wołomin dostała Prokuratura Regionalna w Szczecinie. I właśnie teraz postawiła zarzut niedopełnienia obowiązków byłemu wiceszefowi Komisji Nadzoru Finansowego Wojciechowi Kwaśniakowi. Temu samemu, który za ujawnienie afery SKOK Wołomin został niemal na śmierć pobity przez wynajętych zbirów.

Sprawę zniszczenia – będących w dyspozycji prokuratury – nagrań z monitoringu dotyczących wypadku w Oświęcimiu samochodu wiozącego premier Beatę Szydło przeniesiono do Nowego Sącza i powierzono świeżo upieczonemu prokuratorowi, który wcześniej był radcą prawnym i pracował dla radnego PiS. A w Prokuraturze Okręgowej w Nowym Sączu jest – a jakże – na delegacji.

Sprawa zgłoszona polskiej prokuraturze przez unijną agencję OLAF: wyłudzenia przez europoła PiS Ryszarda Czarnieckiego pieniędzy za delegacje, trafiła do Zamocnia. Sprawa wycieku danych sędziów i prokuratorów z Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, kierowanej wówczas przez Małgorzatę Manowską (obecną pierwszą prezes Sądu Najwyższego), została podzielona na dwie prokuratury. Żadna z nich nie jest właściwą miejscowo prokuraturą w Krakowie. Sprawę prowadzi Lublin i Rzeszów. Już 400 sędziów i prokuratorów padło ofiarą wyłudzeń na ich nazwiska lub gróźb.

Sprawy wędrują również wtedy, gdy powinny być umorzone, ale kierownictwo prokuratury się tego boi. Ziobro wpadł we własne sidła: dając sobie władzę nad każdym śledztwem prowadzonym w kraju, za każde osobiście odpowiada. Umorzenie medialnej sprawy obciążałoby jego konto, więc sprawa jest przedłużana w nieskończoność. Np. śledztwo dotyczące sprawstwa kierowniczego zabójstwa Krzysztofa

Olewnika przeszło przez Warszawę, Olsztyn i Gdańsk, a teraz jest w Krakowie. Sprawa śmierci działaczki ruchu lokatorskiego Jolanty Brzeskiej z Warszawy – niewyjaśniona dziewiąty rok – została przeniesiona do Gdańska.

*– Przenoszenie spraw poza właściwość miejscową może być wykorzystywane do łamania zasady niezależności prokuratorskiej. I powodować naruszanie praw stron postępowania, które mają utrudniony dostęp do akt i są zmuszane do podróży* – mówi prokurator Jacek Bilewicz z LSO. Sądzi się z prokuraturą o to, że – podobnie jak 22 innych prokuratorów – po likwidacji Prokuratury Generalnej w 2016 r. został przeniesiony o dwa szczeble niżej. Na razie proces wygląda jak walka z cieniem, bo prokuratorzy krajowi i generalny twierdzą, że nie są stroną w tej sprawie, ponieważ nie mają „legitymacji procesowej” jako pracodawcy. Mimo że to oni podejmowali decyzję o przeniesieniu.

W prawie o prokuraturze nie ma bowiem definicji pracodawcy.

## Co i kto podpisuje?

Prokuraturą rządzi prokurator krajowy Bogdan Święczkowski, zaufany Zbigniewa Ziobry, jego kolega ze studiów. To on podpisał delegacje prokuratorów LSO. To on wywyższa i zsyła. To on – jako pierwszy zastępca prokuratora generalnego – wyznacza prokuratorów, powierzając im obowiązki zastępców rzeczników dyscyplinarnych. Dlatego że powierzenie obowiązków można w każdej chwili cofnąć, a rzecznicy powołani normalnie mają w ustawie zapisane kadencje. Więc p.o. rzecznika jest mniej awanturujący się. Na 11 zastępców rzecznika dyscyplinarnego prokuratora generalnego 10 ma jedynie powierzenie obowiązków. Decydują o dyscyplinarkach dla niepokornych prokuratorów.

To Święczkowski wydaje prokuratorom wytyczne, np. żeby uczestników Strajku Kobiet oskarżać o stworzenie powszechnego zagrożenia dla zdrowia i życia w związku z pandemią. Albo – domagać się wyłączenia ze spraw sędziów, którzy chcą badać prawomocność powoływania sędziów przez neoKRS.

Święczkowski – wraz z Ziobrą – odpowiada również za dzisiejszy stan prokuratury, której jedynym (choć kwestionowanym przez LSO) sukcesem jest zwiększenie wpływów do budżetu w związku ze ściganiem oszustw na VAT.

Za czasów szefowania ABW podobno chwalił się, że jest sprytny i nie podpisuje niczego, za co można by go pociągnąć do odpowiedzialności. Delegacje prokuratorów podpisał na pewno.

EWA SIEDLECKA



# Nowa aplikacja

Polityka: tygodnik, news, audio



Cały świat w jednym miejscu. Pobierz już dziś!





# Jak przegapiliśmy Baumana

Artur Domosławski o swojej nowej książce  
„Wygnaniec. 21 scen z życia **Zygmunta Baumana**”.

JACEK ŻAKOWSKI: – **Lubisz go?**

ARTUR DOMOSŁAWSKI: – Bardzo!

**Za co?**

Uważam go za jednego z najważniejszych przewodników.

**Czyli cenisz. A lubisz?**

Przejmuje mnie jego los.

**Współczucie?**

Raczej współ-odczuwanie. Solidarność. Lubienie też. Ale skoro drażysz, zaczynam się zastanawiać, czy chodzi o lubienie, czy może o inne uczucie.

**Dobrze się z nim czułeś?**

Zwykle tak. Miałem poczucie wspólnoty widzenia świata. Ale i onieśmiała mnie. Raz widziałem go w depresji, po śmierci pierwszej żony Janiny. To było trudne. A ty się z nim źle czułeś?

**Jak przeczytałem u ciebie, że był filigranowy i kruchy, pomyślałem, że to był mój problem z Baumanem.**

**Był jak paczuszka faworków. Mająca smakowitą zawartość, która w każdej chwili może się rozpaść w rękę.**

W tej kruchości zawierały się jego wszystkie straszne doświadczenia. Trzeba było uważać, żeby go nie zranić, nie zamknąć jakimś niefortunnym słowem.



I nie zepsuć. Bo był w swojej kruchości bezcenny. To w dużym stopniu ona dawała mu empatyczny dostęp do doświadczenia innych. Dzięki niej wyczuwał procesy, których inni nie zauważali. Gdy o nich pisał na długo przed innymi, sądzono, że fantazjuje. A nieszczęśliwie dla swoich krytyków przeważnie miał rację – najpierw, gdy przed Dżilasem, Kuroniem i Modzelewskim pisał, że biurokracja zawłaszcza i niszczy socjalizm, potem, gdy kilka lat przed Standingiem pisał, że ludzie odrzuty tworzeni przez neoliberalizm rozsadzają społeczną tkankę demokracji. Opisywał problemy wcześniej, niż inni gotowi byli je uznać. Chyba też dlatego nie był traktowany wystarczająco poważnie. Nawet gdy już był globalną intelektualną gwiazdą z prawie 20 przyznanymi na świecie doktoratami honoris causa, w Polsce nie stał się gwiazdą pierwszej wielkości.

Nie tylko dlatego.

**A dlaczego?**

Najważniejszą przyczyną jest antykomunizm polskiej inteligencji.

**Prawicy.**

Nie tylko. Liberalów i części lewicy też.

**W tym sensie, że nigdy nie mieliśmy wspólnej wizji Polski, więc zastąpiliśmy ją wspólnym potępieniem PRL?**

Tak. I antykomunizmem. A antykomunizm uniemożliwia racjonalny namysł nad tamtym doświadczeniem. Rozmowa o PRL kończy się na potępieniu. W takiej opowieści Bauman nie ma szans, mimo że rzucił legitymację PZPR, mimo że został wygnany z uniwersytetu, a potem z Polski, stracił obywatelstwo i nigdy nie odzyskał. W antykomunistycznej narracji to nie ma znaczenia, bo gdy rodził się powojenny ład, brał udział w wojnie domowej po niewłaściwej, zdaniem antykomunistów, stronie.

**Podobnie jak wielu szanowanych w III RP peerelowskich dysydentów.**

Ale w odróżnieniu od nich nie przeszedł drogi od komunizmu do antykomunizmu – ani liberalnego, ani narodowo-katolickiego.

**Nie poszedł drogą Balcerowicza ani Macierewicza...**

...ani Kołakowskiego, Kuronia, Geremka... Szedł swoją drogą. Nie brał ostrych zakrętów. Był jednym z pierwszych, którzy krytykowali przechwycenie robotniczej władzy przez partyjną biurokrację, czyli nomenklaturę, ale nie kwestionował swoich lewicowych poglądów. Nie wpisał się też w polską tradycję przemiany zła w dobro, którą symbolizują Jacek Soplica i Andrzej Kmicic. Najpierw grzech, potem odkupienie. Uważał, że decyzje, które z perspektywy lat wydają się błędne, w chwili ich podejmowania mogły być właściwe. Tak oceniał własne wybory, nie chciał mówić o grzechach i winach. A w III RP oczekiwano spektakularnych ekspiacji.

**Mam wrażenie, że było coś jeszcze. Ludzie, którzy jak Bauman chcą naprawiać świat, opowiadają się za czymś lub za kimś. Polska norma to opowiadanie się za kimś. A Bauman opowiadał się wyłącznie za czymś. W naszej familiarystycznej kulturze to musiało być podwójnie ukarane. Po pierwsze, samotnością, a po drugie, goryczą. Bo można kogoś uratować lub zniszczyć, a choćbyśmy nie wiem ile naprawili, świat zawsze jest zły.**

Nie godził się na świat taki, jaki jest. Uważał, że trzeba go naprawiać, ale też afirmował. Bo innego nie ma. Wiedział, że jeśli odrzucasz, a nie afirmujesz, zostaje ci tylko postawa wyższościowa – przeświadczenie, że świat nie jest ciebie godny. W Baumanie tego nie było. Ale kiedy inni poszli w antykomunizm, on – od dawna nie będąc komunistą – pozostał w kręgu wartości, które prowadziły ludzi do komunizmu.

**Podobnie jak Karol Modzelewski i Andrzej Walicki, którzy też byli przez ćwierć wieku zmarginalizowani, a również byli intelektualnie wielcy, choć nie tak sławni na świecie.**

Bo po 1989 r. lewicowe wartości zostały wyrzucone na śmietnik przez rządzące Polską środowiska – narodowo-katolickie i liberalno-konserwatywne.

**Przez lewicę też.**

Przez postkomunistów, którzy koniunkturalnie stali się... neoliberalami.

**Więc problem z Baumanem jest w tym, że przystąpił do komunizmu z tych samych powodów, dla których od niego odstąpił i dla których w wolnej Polsce nie po drodze z nim było głównemu nurtowi polityki.**

Nie miał instynktu stadnego. Nie chciał się do żadnego środowiska przyłączyć ani tworzyć własnego. Miał uczniów, kolegów, przyjaciół, admiratorów, ale to była sieć osobistych relacji – nie środowisko. Nawet kiedy w latach 90. zaczął regularnie przyjeżdżać do Polski i spotykać się z podziwiałymi go młodymi humanistami – jak zmarły ostatnio Wojciech Burszta czy Cezary Wodźński – środowisko z tego nie powstało. To go zasadniczo różniło od Leszka Kołakowskiego.

**Bo na pytanie, co jest najważniejsze w życiu, Kołakowski bez wahania mówił, że przyjaciele, a Bauman by powiedział, że miłość.**

Albo sprawiedliwy świat. Nie miał też chyba temperamentu działacza. Był człowiekiem refleksji. Wypowiadał się w sprawach politycznych. Poproszony, by się za kimś wstać, robił to. Proszony o wykład w opozycyjnym klubie, nie odmawiał. Ale nie organizował innych.

**To dość, by zrozumieć, dlaczego był samotny. I czemu, gdziekolwiek się w życiu znalazł, stawał się oczywistym celem mrocznych pokładów polskości.**

Figura Innego tak działa na wspólnoty, klany, stada. A Bauman był tym Innym – przynajmniej tak go postrzegano, mimo że sam wcale tego nie chciał.

**W ZSRR jako żołnierz Berlinga odmówił zmiany nazwiska na polskie. Chciał być sobą. To znaczy być Innym.**

On chciał być sobą. A Innego widzieli w nim ludzie ze stada. I od dziecka gotów był płacić za to cenę.

Będąc nastolatkiem, na poznańskich Jeźyczach nie mógł przejść ulicą, żeby jako Żyda nie zaczepiali go antysemitcy chuligani. W gimnazjum trafił do pięcioosobowego ławkowego getta, bo Żydów przyjmowano niechętnie. Za pochodzenie dostawał od kolegów w skórę. Jego ojciec nie mógł znaleźć pracy i z rozpaczy rzucił się z mostu.

**Po czym w „Kurierze Poznańskim” pojawił się tytuł „Polscy harcerze ratują Żyda”.**

Nie czuł się w tamtej Polsce mile widziany.

**A jednocześnie – inaczej niż siostra i ojciec – uparł się być Polakiem w Polsce.**

W tym przejawiało się jego bycie sobą. Był sobą jako Polak i jako Żyd. Nie byłby sobą, będąc tylko jednym lub drugim. Wiedział, że w szkole ani na ulicy nikt go nie będzie bronił przed poszturchiwaniem. Ale wolał być poszturchiwany, niż sprzeniewierzyć się sobie. Całe życie wykopywano go z polskości, a on nigdy się nie poddał. Wieczna obcość dała mu w końcu przywilej odrębnej perspektywy, której jego czytelnicy dużo zawdzięczają. Przekuł osobność w cnotę. Słyszałem jednak, jak ktoś mu życzliwy komentował ze smutkiem: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”.

**Bo jednak, będąc w gimnazjum, zapisał się do stowarzyszenia żydowskiej młodzieży.**

**Czyli chciał należeć.**

Harcerstwo nie wchodziło w grę, bo było chrześcijańskie. ►